

Zuzanna Kołodziejczyk 6a

1 września 1939 r.

Jest piękny, jesienny poranek. Dziś jest 1 września 1939r i moje ósme urodziny. A tak w ogóle mam na imię Zuzia. Razem z rodzicami mieszkam w Warszawie w starej kamienicy. Mama zaproponowała dziś spacer po parku. Wszyscy byli bardzo chętni i po dziesięciu minutach poszliśmy się przejść. Po drodze mama kupiła gazetę " Kurier Warszawski". Gdy tylko spojrzała na pierwszą stronę, jej twarz od razu bardzo posmutniała. Chwyła mnie za rękę i, prawie biegnąc, wróciliśmy do domu. Kazała mi iść do swojego pokoju. Przez uchylone drzwi słyszałam jak o czymś z tatą rozmawiała. Wymieniała również moje imię i zrozumiałam tylko tyle, że musimy wyjechać do babci za miasto. Bardzo się ucieszyłam, bo, zamiast iść do szkoły, będę miała dłuższe wakacje. Z pośpiechem zaczęliśmy się pakować. Po godzinie byliśmy już w drodze, a ja płakałam, bo nie mogłam zabrać ze sobą swojego ukochanego misia.

Na dworcu były tłumy ludzi, którzy również chcieli opuścić Warszawę. Myślałam, że oni wszyscy jadą na piknik, bo byli dziwacznie poubierani. Jedna pani miała nawet na sobie futro, a przecież było ciepło.

Po kilku godzinach czekania na pociąg, który nie przyjechał, mama postanowiła, że wracamy do domu. Jakaż byłam szczęśliwa, że znów będę mogła przytulić swojego misia.

2 września 1939 r.

Moja radość nie trwała długo, bo rano tata podjechał pod dom z woźnicą.

Na wóz, oprócz walizek i różnych tobołków, pakowaliśmy wszystko, co się da, nawet pierzynę. Kiedy zajęłam miejsce na wozie, tata czule mnie pocałował, tak jak nigdy dotąd, i ruszyliśmy w drogę do babci.

Niestety na taki pomysł wpadliśmy nie tylko my. Na ulicach było mnóstwo ludzi z tobołkami, walizkami. Wszyscy byli dziwnie zamyśleni, nerwowi. Ta atmosfera udzieliła się również mojej mamie, bo zaczęła na mnie krzyczeć bez powodu.

6 września 1939 r.

Jechaliśmy kilka dni. Byłam głodna i chciało mi się pić. Zapasy, które wzięła mama, prawie się skończyły. Dostałam tylko kawałek chleba i miało mi to starczyć aż do wieczora .

Żeby czas szybko zleciał i abym nie słyszała burczenia w brzuchu, usnęłam.

Obudziły mnie nagle krzyki ludzi oraz wrzaski naszego woźnicy. Mama mocno mnie przytuliła, bo koń wystraszył się i zaczął galopować. Nagle usłyszałam warkot. Nadlatywały trzy samoloty, z których strzelano do idących ludzi. Po chwili wszystko ucichło.

Ocknęłam się, byłam czymś przygnieciona. Zaczęłam wołać mamę, ale odpowiedziała mi cisza.

Wydostałam się, jak się okazało, spod naszego wozu, który przewrócił się na bok i mnie przygniół. Znow zaczęłam wołać mamę. Podeszła do mnie jakaś obca pani, otarła mi buzię, która była cała zakrwawiona, a ja zaczęłam głośno płakać. Widziałam tylko pełno ludzi, którzy leżeli bez ruchu cali we krwi. Byłam przerażona, już nie myślałam o głodzie.

Ta obca pani wsadziła mnie do dziecinnego wózka, w którym znajdował się jej mały synek i ruszyliśmy z innymi w dalszą drogę. Nie wiedziałam, gdzie idę. Ludzie wokół mnie byli przerażeni, ze strachem spoglądali w niebo.

Straciłam poczucie czasu, zbliżał się wieczór. Nagle, w tłumie idących za nami ludzi, zrobił się jakiś ruch. Spoglądałam w tamtą stronę z zaciekawieniem, gdy nagle usłyszałam głos mojej kochanej mamy. Szybko zeskoczyłam z wózka i pobiegłam w stronę, skąd dochodził głos.

Wpadłam prosto w jej objęcia. Obiecałyśmy sobie nawzajem, że nigdy już się nie rozłączymy.

Mama, mimo protestów, postanowiła zawrócić.

10 października 1939 r.

Po czterech dniach tułaczki głodne i zmęczone wróciłyśmy do swojej kamienicy.

Minęło kilka tygodni, wydawało mi się, że wszystko wróciło do normy. Tata wychodził rano do pracy, a ja wraz z innymi dziećmi bawiłam się na podwórzu.

Jakże się myliłam.

Pewnego popołudnia, tata nie wrócił z pracy. Mama bardzo zdenerwowana, co chwilę wyglądała przez okno. Nastął wieczór, a taty wciąż nie było. Zauważyłam, że mama popłakuje.

Tak minęły dwa dni. Trzeciego dnia, gdy jeszcze spałam, do mieszkania nagle wtargnęli jacyś wojskowi. Wiedziałam już, że to Niemcy, bo pełno ich było na ulicach. Krzyczeli głośno na mamę, popychali ją i zaczęli wyrzucać wszystko z naszych szaf. Zaczęłam płakać, a wtedy jeden z nich uderzył mnie mocno w twarz. Prerażona mama podbiegła do mnie i zasłoniła własnym ciałem. Wszystkie ciosy skupiły się na niej. Ja ze strachu od razu przestałam płakać. Stałyśmy tak wtulone w siebie, Niemcy coś jeszcze krzyczeli, wymachiwali rękami, ale w końcu poszli.

Nic nie rozumiałam z tej sytuacji, a mama nie chciała mi powiedzieć, o co chodziło. Wieczorem, kiedy przyszła do nas sąsiadka, usłyszałam, jak rozmawiały o tacie, a mama płakała. Zrozumiałam tylko, że tata został złapany w czasie łapanki i zostanie wywieziony do obozu.

1 września 1941r.

Dziś 1 września 1941r. Moje 10 urodziny. To już trzecie urodziny w czasie wojny. Ciekawe ile jeszcze?

Wieczorem może ktoś złoży mi życzenia. Idę przecież na zbiórkę mojego zastępu. To jest moja tajemnica, o której mama nie może się dowiedzieć. Ona cały czas martwi się o mnie, a ja już jestem dorosła. Moi rówieśnicy roznoszą po ulicach ulotki z symbolem Polski Walczącej. Może dzisiejszego dnia, z okazji moich urodzin, też dostąpię takiego zaszczytu. Oby tylko udało mi się wymknąć.

Mama właśnie szykuje się do wyjścia. Już parę miesięcy temu najęła się do pracy u pewnego Niemca. Jak sama mówi, nigdy wcześniej by tego nie zrobiła, ale musimy mieć na chleb.

A wracając do zastępu, to należę do Szarych Szeregów. Wciągnął mnie do nich mój najlepszy przyjaciel z podwórka- Franek.

Franek to taki typowy mały warszawiak. Umie wszystko załatwić, zawsze przynosi coś do jedzenia. Mówi, że zajmuje się szmuglem. Nieraz opowiadał mi, że uciekł jakiemuś Niemcowi, podczas rewizji w tramwaju. Chciałabym być również odważna jak on, ale może dokonam tego roznosząc ulotki?

2 września 1941 r.

Hura! Dostałam cały plik ulotek, były jeszcze świeże, prosto z drukarni. Druh, dając mi je, powiedział, że to mój prezent urodzinowy. Lepiej nie mógł trafić.

Musiałam się spieszyć, bo się ściemniało, a zaraz miała być godzina policyjna. Niestety żandarmi zaczepiają również dzieci. Nie chciałam takiego spotkania, a poza tym musiałam zdążyć przed mamą. Gdyby odkryła moją tajemnicę, byłoby ze mną krucho.

Jeszcze tylko jedna przecznica i już byłabym na miejscu. Niestety, wpadłam prosto na łapankę, nie udało mi się uciec. Dostrzegł mnie jeden z Niemców i wycelował do mnie z karabinu. „To już po mnie, przecież mam ze sobą ulotki” - pomyślałam. Jeśli znalazłby je przy mnie, to zabiłby mnie bez wahania.

Kiedy Niemiec odwrócił się w stronę innych, ja szybko wyrzuciłam ulotki do kanału. Udało się, będę żyć.

Niestety, posadzili mnie razem z innymi na pace. Od razu pojechaliśmy do obozu.

Mamo, mamo....!